

Anna Węgrzyniak

Czytanie literatury

Czytanie Literatury : łódzkie studia literaturoznawcze nr 1, 162-170

2012

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Czytanie literatury

162

ANNA WĘGRZYŃIAK

Pytanie o czytanie stawia mnie do kąta. Tyle projektów, tyle interesujących teorii lektury, które znam jako tako, przynajmniej ze słyszenia: „przyjemność” i „rozkosz” Rolanda Barthes’a, „zdarzenie lektury” Jacques’a Derridy, „dekonstrukcja jako krytyka interpretacji”¹. Wypadałoby przejrzeć różne warianty krytyki feministycznej, pomyśleć o perspektywach komparatystyki kulturowej, ustosunkować się do tego, co w nas zaszczerpiły różne „posty”: poststrukturalizm, postkolonializm, postmodernizm. Jak dla mnie, to dużo za dużo.

Wiem, poważny akademik powinien mieć własną koncepcję lektury. Błogosławieni, którzy mają własną koncepcję (to chyba z Gombrowicza), wspartą na mocnym fundamencie filozoficznym, z określonym systemem wartości, z głębokim przekonaniem, że taka lektura bywa samopoznaniem, aktem kreatywnym – jeśli wskazuje kierunek przebudowy rzeczywistości, badaniem wyobraźni bądź wypełnianiem jakiejś misji.

Kiedy bywam krytykiem literackim, czyli pośrednikiem między autorem i odbiorcą, to opisując, interpretując, wartościując, jakoś demonstruję swój sposób czytania, ale nie zastanawiam się nad tym, co znaczy „być krytykiem”? Nie zamierzam brnąć w grząskie rejony wzajemnych zależności pomiędzy historykiem, teoretykiem i krytykiem literatury, bo ostrość pojęć określających te role dawno się nam stępiła. Odpowiada mi formuła Dariusza Nowackiego: „zawód czytelnik”, zwłaszcza wtedy, gdy pracuję na zlecenie wydawnictwa. Staram się czytać rozumiejąco, z pokorą, empatycznie. „Macierzyńsko” wsłuchana w teksty, które uwodzą bądź nudzą, hipotetycznie zakładam, że usłyszę „własny głos” nadawcy, że powiedzie się próba uchwycenia osoby autora. Kto, co i po co opowiada? W pierwszej lekturze naiwnie pytam: Co autor(ka) chciał(a) powiedzieć? Lepiej dla dzieła, jeśli tego nie ustalę, jeśli odpowiedź tak się skomplikuje, że pozostanę w niepewności, z bagażem pytań otwierających różne możliwości odczytań. Przyznam jednak, że to wyszydzone pytanie na wstępie trochę się przydaje.

* Akademia Techniczno-Humanistyczna w Bielsku-Białej, Wydział Humanistyczno-Społeczny, Katedra Literatury i Kultury Polskiej.

¹ A. Burzyńska, *Dekonstrukcja i interpretacja*, Kraków 2001.

Na dalszym etapie szukam czegoś „osobliwego” (powtarzających się motywów, obrazów, jakiejś zasady scalania tekstu, gry z tradycją...), w czym wyraża się podmiot autorski (nie podmiot liryczny czy narracyjny), co nie znaczy, że ignoruję retorykę.

Naprawdę nie mam recepty na wartościowanie. Z nowo poznanym dziełem jak z nowo poznaną osobą. Dlaczego jedną lubimy od razu, bez namysłu, a innej, bez powodu, unikamy? Podobno tak działa „chemia”, a tej nie ma podczas lektury. No dobrze, a pisanie/czytanie ciałem? Większość reakcji lekturowych (nie tylko moich) ma – jak sądzę – charakter intuicyjny, spontaniczny (bo tak mi się podoba/nie podoba), dopiero potem staramy się nadać sens wrażeniom, szukamy argumentów, próbujemy to opowiedzieć czyli zrozumieć. To „kwestia gustu”², czy też „kwestia smaku”, zawsze formowanego przez kulturę. Smakując *Gulasz z turula* Krzysztofa Vargi – jedną ze smaczniejszych książek ostatniej dekady – sięgnęłam po *Czytanie Brillat-Savarina* Rolanda Barthes’a, obowiązkowo czytane wraz z *Fizjologią smaku* Anthelme’a Brillat-Savarina. U Savarina zachwyciły mnie aforyzmy, które tutaj podaję w odwrotnej kolejności: (5) „Stwórca każąc człowiekowi jeść, aby mógł żyć, za zachętę dał mu apetyt, a za nagrodę przyjemność”. (4) „Powiedz mi, co jesz, a powiem ci, kim jesteś”, (3) „Losy narodów zależą od ich sposobu odżywiania się”³.

Na pozór jedzenie niewiele ma wspólnego z lekturą, ale przecież czytanie – jak każdy odbiór sztuki – to konsumpcja, tyle że bardziej wysublimowana, bo zaspokaja potrzeby „duchowe” (emocjonalne, intelektualne). Podobno dzisiaj te potrzeby lepiej obsługują sztuki multimedialne. Być może, jednak ja – dziecko ery Gutenberga – pozostanę przy tradycyjnej formie papierowej, dzięki której wiersz czy powieść skonkretyzuje się wielozmysłowo w wyobraźni. Lubię sobie postać „nad brzegami zagęszwionych nicości”, poszukać „napisanych saren”, posłuchać „muzyki nocą”. Żeby te światy zaistniały, odbiorca musi wykazać więcej aktywności niż przed ekranem. W tym „poruszeniu” wyobraźni widzę przewagę literatury nad innymi sztukami. Są dzieła, do których wraca się wielokrotnie, budując ciągle inne światy. Ile odczytań, tyle konkretyzacji. W moim przypadku wszystkie są zmysłowe – zarówno w tradycyjnym rozumieniu Romana Ingardena, jak też w rozumieniu Rolanda Barthesa. Studiując *Fizjologię smaku* Barthes uważa, że zdaniem Savarina smak pochodzi z umiejętności oceny kucharza, a taki wniosek obraca „traktat” o smaku w etykę (smaczne jest to, co zostało dobrze, dokładnie przyrządzone). Nie wnikając w te zawile kwestie, dodam tylko, że smak (czy gust) zależy od tego, co i jak konsumujemy. Dużo czy też w porcyjkach, ekspresowo czy niespiesznie, w pociągu, fotelu, czy pod gruszą. W epoce rozbuchanego konsumpcjonizmu oraz audiowizualności, która ustala nowe kryteria postrzegania i wartościowania, zasadniczo zmieniając naszą percepcję, tylko czytanie ratuje nas przed konsekwencjami „wielkiego

² *Kwestia gustu* to tytuł ważnej dla mnie (kiedyś) książki Adama Ważyka.

³ A. Brillat-Savarin, *Fizjologia smaku albo Medytacje o gastronomii doskonałej*, wybór i oprac. W. Zawadzki, przekład i wstęp J. Guze, Warszawa 1977, s. 8.

żarcia". Dobra książka chroni przed zalewem tandety i przed terrorem chwili. Żyjąc w prędkości, która wytrąca nas z przestrzeni i czasu (Paul Virilio: im szybciej się coś pojawia, tym szybciej znika), czy pamiętamy ekspresowe migawki z ekranu? A książka, jeśli nawet czytam eliptycznie, zatrzymuje mnie w czasie lektury. Liniowo (nie symultanicznie) uporządkowanym tekstem literackim rządzi logika przyczynowo-skutkowa, więc muszę przystanąć, poskładać, pomyśleć. Kultura jest pamięcią i ufam, że człowiek nadal jest pamięcią. Wspaniałe media elektroniczne jednak zwalniają nas z zapamiętywania, przy komputerze liczą się zdolności operacyjne, kombinacja, miksowanie, nie pamięć szczegółów. Mam nadzieję, że nawet w epoce audiobooków znajdą się zwolennicy pisanych potraw literackich.

Wracając do potraw, smaku i przerwanej opowieści o tym jak czytam, za Barthesem przypomnę, że pismo do Grecji przyniósł Kadmos – kucharz króla Sydonu, zapewne nie pierwszy, który łączył kulturę literacką z kulturą stołu. „Jedzenie, mówienie, śpiewanie (ale też całowanie) to działania, które powstają w tym samym miejscu ciała – gdy odciąć język, nie istnieje już smak ani mowa. [...] Z językiem – podobnie jak z pożywieniem – łączy Savarina stosunek miłosny, pożąda słów jak pożąda trufli...”⁴. Savarin lubi trufle, Węgrzy spożywają tłusty, ciężki gulasz, polskie danie narodowe to bigos. Zdejmuję z półki *Pana Tadeusza*, raz jeszcze czytam księgę IV i znakomity tekst Krzysztofa Kłosińskiego⁵, a po bigosie sięgam do księgi XII *Kochajmy się*, gdzie wieszcz „maluje” ostatnią ucztę staropolską. Na stole sarmackie specjały: barszcz królewski, rosół staropolski, blemasy, łososie, szczuki i „ryba nie krojona”, smażono-pieczona, z „sosem u ogona”. Jak ustalili badacze⁶, Mickiewicz posiłkował się starym poradnikiem kulinarnym Stanisława Czernieckiego *Compendium ferculorum albo zebranie potraw*. Można wysnuć wniosek, że poeta, hojnie obdarzony dobrą pamięcią własną, malując Soplicowo korzystał z pamięci-literatury (w omawianym przypadku – z książki kucharskiej).

Varga, Savarin i Mickiewicz. *Pan Tadeusz*, „sarmacka” *Barbara Radziwiłłówna* z *Jaworzna Szczakowej* Michała Witkowskiego i *Cmentarz w Pradze* Umberto Eco (tu zupka z żółwia, łosoś z cebulkami i karczochami) – jak te dzieła łączy moja prywatna „spinka”, pozostawiam bez odpowiedzi. Tak właśnie czytam – niespiesznie, bez planu, poddając się impulsom płynącym z lektury, którą jednak steruje jakaś logika skojarzeń smakowo-kulturowych. Chcąc napisać artykuł czy esej, musiałabym zebrać bibliografię, pogrzebać w literaturze, ułożyć plan, zapisać luźne pomysły. I byłoby to zupełnie inne czytanie – spójne, dojrzałe, ale wyprane z emocji, odzmysłowione, trochę na pokaz. Bo inaczej czytamy dla siebie (dla przyjemności), inaczej dla odbiorcy (jeśli nawet jest nim własne dyscyplinujące „ja”).

⁴ R. Barthes, *Czytanie Brillant-Savarina*, [w:] tenże, *Pisma*, t. IV, *Lektury*, pod red. M. P. Markowskiego i K. Kłosińskiego, przeł. E. Wieleżyńska, Warszawa 2001, s. 187.

⁵ K. Kłosiński, *Bigos*, [w:] „Pieśni ogromnych dwanaście...”. *Studia i szkice o „Panu Tadeuszu”*, pod red. M. Piechoty, Katowice 2000.

⁶ Zob. R. Ociecek, „Zabytek drogi prawych zwyczajów” – o książce kucharskiej, którą czytywał Mickiewicz, [w:] „Pieśni ogromnych dwanaście...”.

Czytam, bo lubię, ale też czytam, bo muszę, w różnych sytuacjach przyjmując różne strategie. Nie potrafię oddzielić tego, co wyuczone (powiedzmy: eksperckie), zakodowane w moim umyśle jako wzory przejęte od krytyków i historyków literatury, od tego, co moje „własne”. Nie wiem, na ile czytamy zgodnie z wolą i upodobaniem, a na ile poddajemy się różnym kolonizatorom. Zresztą, jak to zbadać? Trzeba by odcedzić ziarna od plew, poszukać motywacji, wyłuskać lekturowe normy. Po wtóre, nie wierzę w bezstronne autodiagnozy.

O sposobach mojego czytania pisali recenzenci dorobku Anny Węgrzyńskiej, których przecież nie będę cytować.

Obowiązkowo czytam pozycje spoza kanonu⁷, te najnowsze, z listy lektur zadanych sobie i studentom polonistyki, których zawsze przekonuję do tego, że warto tekst „przebadać”, rozebrać, zrozumieć. Zrozumieć na ile to możliwe, wyłapując aluzje, gry stylizacyjne, pastisze, ironie itp. Ponieważ postępująca desymbolizacja prowadzi do radykalnego zerwania więzi z tradycją, dlatego za sprawę najważniejszą uważam czytanie ze zrozumieniem. Dam przykład: w bohaterce ballady, która płynie „z rozplecioną kosą” cała grupa moich pierwszaków widzi płynącą kostuchę z ostrym rekwizytem. Jak zatem mamy zdobywać wyższe piętra znaczeń, gdy gubi się podstawowy kod kulturowy? Z pierwszym rokiem licencjatu czytamy wers za wersem, zdanie za zdaniem, rekonstruując fabuły, szukając w Kopalińskim, w encyklopedii czy wikipedii. Zanim zacznę demonstrować różne sposoby czytania (od tradycyjnej hermeneutyki po „sztukę radosną”), naprzód muszę studentów przekonać, że lektura wymaga skupienia, że nie warto czytać biernie (szybko, gładko, powierzchownie), co więcej, że ten wysiłek się opłaca. Po co czytamy? Również dla zdobycia szczytu (jak w sporcie), dla przyjemności pokonywania trudności. Tak mówię adeptom „sztuki interpretacji”. A przy okazji wspominam, że czytanie sprzyja poznawaniu słownictwa, odkrywaniu starych kodów symbolicznych i alegorycznych, poznawaniu toposów i struktur gatunkowych (tak! – na tym etapie trochę strukturalizmu nie zaszkodzi). Tako rzecze Pimko! Jako stary belfer jestem zwolennikiem czytania uważnego, uwzględniającego wszystkie sygnały stylistyczne pomocne w zrozumieniu dzieła. Z drugiej strony, uczę podejrzliwości – od dyskusji nad statusem referencjalnym języka poczynając, na takim komentarzu (dotyczącym przedmów do *Julii* J. J. Rousseau) kończąc:

Nie może istnieć żadne pisanie bez czytania, ale wszystkie odczytania są w błędzie, ponieważ zakładają swą własną czytelność. Wszystko, co napisane, musi być czytane, a każde czytanie poddaje się logicznej weryfikacji,

⁷ Mówiąc „kanon”, z jednej strony zgadzam się z szeroką definicją tej kategorii zaproponowaną przez Piotra Śliwińskiego, a z drugiej popieram stanowisko Ingi Iwasiów, że szanując kulturową odmienność i prawo jednostki do indywidualnych wyborów, trzeba odrzucić jednolitą koncepcję tradycji na rzecz wielości kanonów. W moim rozumieniu oba stanowiska (nawzajem sprzeczne) wcale się nie wykluczają. Zob. *Kanon i obrzeża*, pod red. I. Iwasiów, T. Czerskiej, Kraków 2005 (s. 7, 85–86).

jednakże logika, która ustala potrzebę weryfikacji, sama jest nieweryfikowalna, a zatem niezgruntowana w swym roszczeniu do prawdy⁸.

Miałam opowiedzieć o „swoim czytaniu”, trudno jednak zacząć od lektury prywatnej komuś, kto nie rozstaje się z rolą polonistki. Moja belferska dusza unosi się nawet nad patelnią, gdy smażąc jajecznicę obmyślam wykład. Właśnie uświadomiłam sobie, że dobieram lektury pod kątem użyteczności dydaktycznej (pod wykład, pod seminarium), a czytając już kombinuję: jak i co zaproponować studentom. Zboczenie zawodowe czy pragmatyzm? Rodzaj więzienia czy przeciwnie: okno na świat-bibliotekę? Wreszcie, co znaczy „czytanie własne”, jeśli stale ulegamy autorytetom, tendencjom, modom. Prościej byłoby odpowiedzieć negatywnie, jak nie czytam, czego w literaturze nie szukam. Otóż, nie szukam w literaturze Prawdy, wiedzy o Całości, o epoce, o społeczeństwie. Nie szukam prawdy psychologicznej, ale interesują mnie „psychokreacje”, rozdwojenia, sobowtóry, przemilczenia, maski... W przekonaniu, że dobra literatura jest „wyrażaniem niewyraźnego” – wbrew intelektualnej tradycji Zachodu – lubię łączyć psychologię z metafizyką.

Nie traktuję interpretacji ideologicznie, instrumentalnie, politycznie. Interesuje mnie inny człowiek, jego wyobrażenia i „ciemne” problemy egzystencjalne. Mówiąc najprościej, lektura jest dla mnie rozmową z innym o innym. Nie szukam potwierdzenia tego, co wiem (od banałów są seriale), im więcej „obcości”, trudności, „ciemności”, tym lepiej. Więcej szukania w Bibliotece, więcej zamyśleń, niepewności. To dość anachroniczne, ale właśnie tak czytam.

Nie wiem, czy młodym „sieciowym” można przekazać swój sposób lektury? Co z tego, że pokażę im, jak ważną rolę pełnią gry z tradycją, jeśli oni tego nie zobaczą. Są i tacy, dla których „przeszłość” jest słowem pustym, abstrakcją, żyją symultanicznie w czasie „teraz”, obywając się bez naszego „wczoraj”. Wojny, stalinizm, „Solidarność” to dla nich prehistoria, więc staram się osadzić dany tekst w takim kontekście, który będzie im znany, bliski, a przynajmniej akceptowalny. Bywa i tak, że mnie zaskakują – a wtedy ja uczę się od nich. Czytanie z innym jest nieprzewidywalne i dlatego bywa atrakcyjne.

W spadku po strukturalizmie (na którym wychowało się moje pokolenie) pozostał mi „sprawny warsztat analityczny” (to słowa Mistrza Ireneusza Opackiego), ale na systemowe porządki zawsze byłam odporna (taki defekt). Jeśli już muszę się samookreślać, to powiem, że moja metoda bez metody lokuje się w pobliżu hermeneutyki (bliżej Ricoeura niż Gadamera), aczkolwiek niekonsekwentnie, z dużym dystansem do Sensu. Tak czy inaczej (mniejsza o nazwę sensotwórczej operacji) staram się odkrywać znaczenia. Wbrew teorii Paula de Mana – który poucza, że nasze wysiłki są alegoriami odczytania, są konstrukcją (czy mistyfikacją?) – hipotetycznie zakła-

⁸ P. de Man, *Alegorie czytania. Język figuralny u Rousseau, Nietzschego, Rilkego i Prousta*, tłum. A. Przybylski, Kraków 2004, s. 242.

dam, że bodaj zbliżam się do znaczeń, które generuje tekst. Tego nauczyła mnie polonistka, z takim założeniem uprawiam swoją „sztukę interpretacji”. Lubię rozłożyć dzieło sztuki na elementy „pierwsze” (szczególnie, gdy jest ono małym tekstem poetyckim), ustalić, co w słowniku danego autora to „coś” (niejasne dla nas) znaczy. Ale nie zawsze tak się bawię. Na ogół czytam z jakimś nastawieniem (czyli interesownie – choć interesy bywają zmienne). To, czego szukam, wynika z mojej postawy (czy tylko chwilowego nastawienia?) do świata, z określonej wizji kultury, z liberalnego światopoglądu. Mniej więcej w połowie lektury ustala się wątek przewodni. Zawsze podkreślam i notuję swoje odkrycia na przyklepanych karteczkach. Czytając już układam sobie pierwszą interpretację, zapisuję pytania do tekstu, stawiam plusy i minusy z wykrzyknikiem w kółeczkach (pojedynczych!, podwójnych!!, potrójnych!!!) – oceniając np. dowcip, urodę stylu czy coś „egzotycznego”.

Na emeryturze raz jeszcze przeczytam wspomnienia, listy, dzienniki, łże-dzienniki. To fascynujące, jak bardzo różnią się kobiece i męskie autokreacje. Dzienniki czytam zawsze dla siebie, tzn. kameralnie. Teraz dla przyjemności pochłaniam *Dziennik Sławomira Mrożka* (bez metody, z czystej ciekawości), jakieś wiersze, których nie rozumiem (zajęcie dość irytujące, ale wciąga) i śląskie haiku, przy którym odpoczywam. Otóż 15 stycznia 1971 roku, kiedy podobno wszyscy byliśmy strukturalistami, Mroźek zanotował:

Jedno słowo, zdanie, myśl, maksyma, system – i tyle różnic w ich odczuwaniu, rozumieniu, stosowaniu. Kiedy dwóch mówi to samo, to nie znaczy to samo. To mi przyszło do głowy, kiedy czytałem beztrąsko prymitywne, filozofujące rozważania Casanovy w jego przedmowie do *Pamiętników*. Coś on tam mówi o stoikach. Skąd wiem, domyślać się tylko mogę, co on miał na myśli⁹.

Ja też często ledwo się domyślałam, co Mroźek ma na myśli. I sądzę, że mimo pozornej jasności, dzieła dawnych mistrzów (Kochanowskiego, Morsztyna, Mickiewicza) dużo bardziej są podatne na zdradę niż teksty współczesnych. Takich problemów nie mam, czytając przekład (nawet jeśli można porównać go z oryginałem), z przekładem bujam sobie swobodnie i nieodpowiedzialnie, bez filologicznych obciążeń, nieświadoma uproszczeń, nadczytań, przekłamań. Tę wolność też lubię.

Ale najbardziej lubię zderzać różne interpretacje, osadzone w różnych kontekstach – im więcej uda się różnych odczytań zaproponować, tym ciekawsza lektura. Takie gry uprawiam z seminarzystami, kolarzami, pasjonatami mającymi jakiś układ odniesienia. Taka lektura bardzo sprzyja sytuacji rozmowy, każdemu daje szansę obrony swoich racji. Ponieważ uniwersytet z założenia jest przestrzenią interdyscyplinarną, apolityczną, otwartą na różne projekty świata, akademicka lektura grupowa – to współczytanie eksperta ze studentami, którzy przecież widzą świat swoim „okiem” – powinna

⁹ S. Mroźek, *Dziennik 1970–1979*, t. 2, Kraków 2012, s. 29.

strzec wielości obrazów świata. Życie społeczne jest areną walki, natomiast czytanie literatury powinno być rozmową równoprawnych stron, partnerskim dialogiem. Przykładem niech będą przeciwstawne optyki wartościujące np. *Barbarę Radziwiłłównę z Jaworzna Szczakowej* Michała Witkowskiego czy *Balladyny i romanse* Tymoteusza Karpowicza. Gdy jedni bronią, drudzy ganią i na zajęciach wrze, jestem usatysfakcjonowana. W epoce biernego uczestnictwa w „kulturze obrazkowej” od literatury wymagam, by prowokowała do aktywności. Niech bawi, jątrzy i stawia problemy do rozwiązania. Niech zmusza do myślenia. Główne zadanie literatury i lektury widzę nie w projektowaniu świata, ale w zderzaniu różnych obrazów świata, różnych kultur i manifestów prywatności, które z trudem usiłujemy zrozumieć.

Po co i jak czytamy? Te pytania często zadają studentom i sama też na nie głośno odpowiadam. Żeby zderzyć się z czymś, co nas zaskoczy, ucieszy, rozbawi, skłoni do refleksji, wytrąci z potocznego myślenia, otworzy na jakąś „tajemnicę”. Właśnie literatura – bardziej niż inne media – zaprasza w świat innego, z którym można podjąć dialog w imię moich/twoich/jego wartości (pomijając „wartości absolutne”).

Czytanie prowokuje do podjęcia rozmowy o sprawach, które są dla mnie/dla nas ważne. Będą to banalne pytania o kondycję człowieka, o tożsamość, o podmiot (z *odniesieniem do podmiotoburstwa*). Podmiot w rozpadzie, pośmiertny, retoryczny, nomadyczny.... To pytania o nasze lęki odwieczne i XXI-wieczne, o stereotypy ułatwiające/utrudniające współżycie wspólnot, o miejsce humanistyki w technopolu.... Nie wymienię wszystkich tematów, do których prowadzi lektura, bo czytanie literatury traktuję jako czytanie tekstu kultury i tekstu świata.

Szczerze podziwiam krytyków, którzy czytają prawie wszystko (jak Przemysław Czapliński) i obejmując „wszystko” syntetycznym „okiem”, oceniają literaturę pod kątem jej możliwości, a raczej niemożności opowiedzenia (czyli zrozumienia) świata. Literatura i rzeczywistość to para modna od czasów Arystotelesa, ale ponieważ problemy z przedstawianiem rzeczywistości stale się komplikują, krytyka intryguje „podrabianie świata” (skąd się bierze, jak się przejawia). W latach dziewięćdziesiątych, ulegając chwilowemu zapotrzebowaniu na powinności obywatelskie – jak inni, szukałam w młodej prozie pokoleniowego samopoczucia, ale to nie było „moje”. Taki model lektury narzuciła dyskusja wokół *Przełomu*, a także propozycje moich studentów. Jednak nie tego oczekuję od literatury, gdyż uważam, że w tej kwestii lepiej wypowiedzą się inne media (kino, Internet).

Do tej pory słowa nie rzekłam o najważniejszej funkcji lektury, tej pierwszej, dziecinnej, odwiecznej. Człowiek jest istotą emocjonalną, więc książka dostarcza mu przeżyć (zastępczych, katartycznych, różnych). Coś mnie wzrusza, porusza, jakaś fraza zostaje na dłużej i draży, ulega parafrazom, wchodzi do mojego prywatnego słownika. Jestem „sztuką cytatu”, składam się z tekstów, którymi wyrażam swoje emocje, z których buduje się mój ruchomy światoo obraz (scalanie i rozpad – migawki, fragmenty, fantazmaty). Literatura budzi, wzrusza i wstrząsa. Zachwyca i przeraża, wywołuje

wspomnienia, skłania do utożsamień z postaciami, sprzyja porównaniom, ustawia lustra. Gdy czytam autokreację jakiegoś potwora, z którym trudno się utożsamiać, próbuję go przynajmniej zrozumieć. A gdyby mnie trafił się taki los? I pochylam się nad potworem – jakoś tak czule... Z kobiecą empatią? Z chrześcijańskim miłosierdziem? Z uwagą psychoterapeuty? W każdym razie pochylam się z troską, a jeśli nawet z odrazą, to bez nienawiści. Gorzej, kiedy zaczynam dywagować (pseudofilozoficznie) na temat identyeczności/pojedynczości Człowieka, wówczas moja lektura niebezpiecznie skręca w stronę jakiegoś uniwersum i mnożących się w nieskończoność wersji. Niestety, mam skłonności do takich „odlotów”. Czy tylko ja?

W powieściowych światach rozpoznajemy siebie i bliskich, gubimy się, błądzimy, czasem odnajdujemy. W każdym z nas mieszka jakieś dziecko, każdy ma swoje prywatne „podwórko szmiry”. Od dziecka gustuję w horrorach, lubię opowiadania Allana Edgara Poe, powieść gotycką, realizm magiczny i różne „psychologiczne straszdyła”. Nie wiem, gdzie biegnie granica między literaturą „wysoką” i popularną. Nie dzielę Wisławy Szymborskiej na autorkę wierszy poważnych i niepoważnych limeryków. Lubię jej styl: staroświecki, niepodrabialny wdzięk, dystans i swoiste, wyczulone na absurd poczucie humoru. W literaturze szczególnie cenię poczucie humoru, którego nam – szlachetnym i serioznym Polakom – raczej brakuje. Pewnie dlatego lubię parodie, pastisze, „kabaretowe” dowcipy (od Boya poczynając) i tekst młodego krytyka o komizmie młodych (względem mnie) poetów¹⁰.

Czy preferuję jakiś szczególnie sposób czytania? Jestem kobietą i czasem (nie zawsze) czytam jak kobieta, czasem uprawiam hermeneutykę podejrzliwości i praktyki lekturowe wywodzące się z „rewizjonistyczno-rewindykacyjnej szkoły interpretacji, której podstawowym założeniem jest opór wobec lektury kanonicznej”¹¹. Słabo zorientowana w dyskursie feministycznym, wolę poprzestać na tym zgrabnym cytacie, zastanawiam się jednak nad stosownością określenia „lektura kanoniczna”. Czy są jakieś lektury kanoniczne? Jeśli – na gruncie różnych szkół czytania – wartością są odczytania nowe, świeże, lokujące stary tekst w nowym kontekście, który w świetle nowych potrzeb czytelniczych (a te są przecież zmienne) jakoś znaczą, odpowiada na wezwanie, to naprawdę trudno ustalić, co jest jeszcze „kanoniczne”. W przypadku literatury polskiej wciąż działa „kanon kanonu”, czyli obowiązkowe odczytania lektur szkolnych (zmienił się program szkolny, ale została stara praktyka), wolę zatem wziąć pod uwagę niekwestionowane arcydzieła literatury europejskiej, takie jak *Hamlet*, *Zbrodnia i kara* czy *Czarodziejska góra* ... Do arcydzieł chętnie wracamy, czytamy wielokrotnie, zawsze inaczej i chyba poza/ponad kanonami. Dzisiaj bardziej od Hansa Castorpa interesują mnie kreacje „dzikiej” Kławdii Chauchat i Naphty

¹⁰ Zob. P. Mackiewicz, „*La Fontaine by tego nie popart / lecz poparłby to Lyotard*”. *Komizm w poezji lat dziewięćdziesiątych i pierwszych (Foks, Majeran)*, [w:] *20 lat literatury polskiej 1989–2009*, t. 1, cz. 1, *Życie literackie po roku 1989*, pod red. D. Nowackiego i K. Uniłowskiego, Katowice 2010.

¹¹ E. Kraskowska, *Czytelnik jako kobieta. Wokół literatury i teorii*, Poznań 2007, s. 7.

– kresowego Żyda, bo zajmuje mnie historia trudnego dialogu Wschodu z Zachodem, bo szukam śladów naszej wielokulturowości przysypanych tradycją „mono” (Polak-katolik). Gdy czytam *Bohni* Tadeusza Konwickiego¹², *Cmentarz w Pradze* Umberto Eco, czy *Zrób sobie raj* Mariusza Szczygła, to intryguje mnie kwestia demaskowania potocznych wyobrażeń (stereotypów), będących pochodną faktów społeczno-politycznych, ale też plotek, legend, manipulacji prawdziwymi faktami.

Reasumując, moje lektury są zależne od ról: czytam jako kobieta, jako nauczyciel akademicki, jako Polka urodzona tuż po II wojnie, jako prywatnie doświadczona „ja” (jakkolwiek je definiować) – ze swoją jednorazową radością, bólem, lękiem, zawodem... „Ja” ruchome – (u)formowane przez lektury – zawsze w drodze przez przysze lektury ku nieprzewidywalnym odczytaniom tego, co we mnie i co poza mną. Zabrzmiało optymistycznie, ale to przecież koncert życzeń i zarazem manifest. A może moje czytające „ja” jest gotowe, schematyczne, odporne na zmienność? Co wtedy?

Summary

Anna Węgrzyñiak

Reading Literature

The article aims to persuade readers of an idea based on the notion that the act of reading can be and is heavily influenced by methods, habits, socio-economic status, the fact whether it is done privately or in the open. On the one hand, there is a professional reader – student, teacher, writer. On the other, there is reading privately for pleasure. My interest and area of expertise – so to speak – is mostly the effect the act of reading has on "a private reader", such as the dark side of identity issues, existential problems.

¹² Zob. A. Węgrzyñiak, *Żyd w Bohini*, [w:] *Literatura wobec mniejszości etnicznych i narodowych*, pod red. S. Gawlińskiego i D. Siwor, Kraków 2009.